



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakeyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Sebastyan Klonowicz.

USTĘP Z „FLISA“,

POEMATU SEBASTYANA KLONOWICZA.

Każdy w granicach ojczyzny swój chleba
Może dostawać, ile mu potrzeba:
Może zaniechać morskiej nawałności,
Kwoli żywności.

Lecz miła Polska na żyznym zagonie
Zasiadła, jako u Boga na łonie:
Może nie wiedzieć Polak, co to morze,
Gdy pilnie orze.

Tu gumna w szczerych polach stoją hojne,
Tu zbiór bogaty, tu żniwa spokojne,
Tu chłopiek wesół, bo pewnie ma wszystko,
Kiedy ma żytko.

Tu zwierza dosyć, tu bydło rogate,
Tu woły tuczne i owce kosmate,
Pasą się w łąkach jałowice tłuste,
I kozy puste.

Ztąd ma gospodarz i sprzężę do pługa,
Ztąd ma odzieżę pan i dobry sługa;
Ztąd mięso świeże, nabiału dostatek,
W mieszek ostatek.

Gęsi moc wielka w łęgu szczebiotliwych,
Kaczek łakomych, łabędzi krzykliwych,
W domu obfitość sadowi się wszędzie
Kurów po grzędzie.

Lub też do stołu nielada potrawy
I gołębiniec rodzi nam dziurawy,
Połcie też w domu z niemłą pociechą
Wiszą pod strzechą.

Leśne bogactwa nieoszacowane
Hojnie Polakom od nieba są dane,
A kto je sobie chce dobrze uważać,
Może ich zażyć.

Po ziemi łanie i sarneczki żartkie,
Po drzewie ptactwo igra sobie wartkie,
Do barci noszą pracowite roje
Zdobycze swoje.

Ryb też dostatek prawie dobrej wody
Dają jeziora, stawy, rzeki, brody:
Owa Polakom na niczem nie schodzi,
Wszystko się rodzi.

Przetoż już nie wiem, czemuż wždy tak chciwy,
Polaku bracie, mając takie niwy;
Czego wždy szukasz w dalekim powiecie,
Na nowym świecie?

Nie wiem zkad ci to przyszło, żeś tak śmiały,
Iż opuściwszy na lądzie grunt cały,
Jąłeś się pływać po Wandziniej wodzie *),
Często ku schodzie.

Więc się podnosim w głupią pychę zatém,
Co Polska rodzi, nie przestajem na tém,
A już nam kramne i zamorskie rzeczy
Zawsze na pieczy.

Komiegi **) nam to i szkuty sprawiły,
I nas w tak marne utraty wprawiły,
Tak nam dodały do złego ponęty
Morskie okręty.

Bez zbytku Polak, bez gwałtownych zysków
Może się obejść i bez tych półmisków,
Dosyć mu dobrą lichwą ziemia daje,
Gumna, jak gaje.

Sebastyan Klonowicz żył w drugiej połowie XVI wieku, obszerniejszą wzmiankę o nim podaliśmy w „Wieczorach” w roku zeszłym, jako rozwiązanie zagadki konkursowej. Najpiękniejszym jego utworem jest ów „Flis”, malowniczy opis Wisły i jej wybrzeży. Chociaż w ustępie powyższym poeta zdaje się ganić żeglugę, dalej jednak mówi:

Jedź gdzieś umyślił, jedź w Bożą godzinę,
Cnotliwy ziomku, a obcą rodzinę
Karm chlebem swoim, gdyż tam z łaski Bożej
Przedasz go drożej.

*) Tak nazywa poeta Wisłę, w której, według podania, śmierć znalazła Wanda.

**) Duże statki czworoboczne.

Klonowicz sam odbył dwutygodniową żeglugę po Wiśle, opisał więc to, co widział, czego doświadczył, a poemat jego ma tę wielką wartość, że jest nawskroś swojski, chociaż w tym czasie poeci nasi zazwyczaj obierali sobie przedmioty obce, naśladowując wzory łacińskie. Oto np. jak Klonowicz w swoim „Flisie” opisuje Toruń:

Od siebie się miej, gdzie wdzięczne winnice
Wiszą nad Wisłą, w nich żywe krynice;
Ujrysz luthauzy i ogrody śliczne,
Drzewa rozliczne.

Przy końcu XVI i na początku następnego wieku wzgórze pod Toruniem okryte były winnicami, a na wybrzeżach Wisły mnóstwo było pięknych ogrodów. I miasto wyglądało wspaniale, czerwone mury krzyżackie i wysokie wieże ze złoceniemi krzyżami ukazywały się zdaleka oczom żeglarza.

Lecz najprzód ujrysz nad górami spice,
I wież wysokich złote makowice,
Co swemi wierzchy modre niebo orzą,
Obłoki porzą.

A gdyć za skutę wzad ucieką góry,
Oglądasz świetne, jako płomień, mury,
Miasto jak z rąbka wywnął osobne,
Na wszem ozdobne.

ZŁOTE PACHOLE,

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

(Dalszy ciąg).

I trzeba mu przyznać, że po pewnym czasie próby, po rozpatrzeniu w nowym otaczającym go świecie, malec podtrzymał sławę tę świetnie. Żaden pacholik przed Złotym pacholikiem ani po nim nie umiał równie zręcznie służyć swej szlachetnej pani, i w czasie licznych zwłaszcza i świetnych zgromadzeń spełniać trudnych nieraz, innych dam i rycerzy szlachetnych dotyczących rozkazów. Żaden nie znał równie dokładnie należnych każdemu z gości względów, wedle stopnia, miana, zasług i charakteru. Nikt lepiej nie umiał, spełniając zręcznie polecenia pani, odpowiedzieć w jej imieniu z właściwą powagą i godnością na niespodziane zagadnienie gościa, lub odciąć się ostro a dowcipnie na żarcik jaki, do samego już pacholika skierowany. Nikt nie umiał tak uczenie i mile zabawić kompanii, wdzięcznym śpiewem i graniem na lutni, a śpiewy te nieraz snuły się nigdzie nie zasłyszane, prosto z duszy maleńkiego lutnisty. Ta ostatnia okoliczność mianowicie wielką mu jednała u otaczających powagę. Przyszło do tego, że inne daleko możniejsze panie, ujrawszy na większych uroczystościach ślicznego pacholika pani Garbowskię, zapragnęły go dostać na ozdobę własnych dworów, a że państwo Garbowscy szczerze prychyli byli wychowawcami, mógł więc malec dostać się na dwory daleko wspanialsze, i na sam królewski Jagielloński, słała mu się nawet raz droga popobno, co znaczy, że mógł po dzisiejszemu mówiąc, „zrobić karierę” ale Złoty pacholik tylko główką, złotą potrząsał odmownie, gdy mu to wszystko pani Garbowska tłómaczyła, i nie chciał wcale Garbowa opuszczać. Matka z babką, acz mało widując teraz chłopcynę, i pani Garbowska rozczulały się nad temi jego odmowami, bo każda przypisywała je przywiązaniu do siebie. Nikt nie wiedział, że malca przykuwało do Garbowskiego dworca to, co go doń sprowadziło: nadzieję ujrzenia pana Zawiszy Czarnego.

— Przecież przyjedzie do ojców to go zobaczę, — myślał sobie mały pacholik i czekał, chciwie tylko łowiąc uchem wieści, jakie o synach dolatywały do państwa Garbowskich, a oni rozmawiali o nich między sobą i ze starszemi dworzaninami:

— Oho, — mówił raz pan Garbowski — nasz Zawisza pojechał z królem Zygmuntem wojować Bośnią, bo Bośniacy królowi posłuszeństwo wymówili.

— A Farurej i Kruczek? — zapytała pani skwapliwie.

— O Kruczku nie piszą jakoś listy — odrzekł pan — ale piszą, że Jan Farurej z Garbowa też pojechał z bratem Zawiszą Czarnym na tę wojnę i wielu innych panów polskich także, z tych, którzy ćwiczą się w rycerstwie na tym tam węgierskim dworze.

— Którzy też to panowie?... — pytano na okół, a pan dopiero wymieniał, że pojechał wedle listów i Zawisza drugi z Oleśnicy, i Skarbek z Góry, i Domarat z Kobylan, i Jan Warszawski, i inni, i że wkroczywszy do Bośni, zdobyto wiele zamków, pokarano winnych buntu i zmuszono znowu kraj cały do posłuszeństwa i hołdu królowi Zygmuntowi.

Tak minęło lat dwa i zaczęło wrzeć w całej Polsce, gotując się do boju z Krzyżakami, a państwo Garbowscy mówili między sobą:

— Tylko patrzeć Zawiszy, bo dał słowo, że wróci, gdy własna ziemia szabli jego zapotrzebuje. Król Zygmunt słysząc zasypuje tam darami i zaszczytami jego i innych rycerzy, aby ich zatrzymać, ale to nie pomoże.

Pacholikowi serce biło mocno, gdy słyszał te wyrazy. Jakoż pewnego poranku straż na wieży zatrąbiła na przybycie gości, i wkrótce trąbka zabrzmiała, zadźwiękły podkowy u bram zamkowych, a przez rozwartę szeroko wjechał na Garbowski dworzec poczet świetnych rycerzy. Na przodzie jechał na wspaniałym rumaku mąż młody jeszcze, bo mógł mieć lat trzydzieści kilka, strojny w rycerską złotą przepaskę, i w lekką zbroję podróżną czarną, błyszczącą pięknie, doskonałej ropoty, ale bez żadnej zresztą ozdoby; zeskoczywszy z konia tak lekko mimo zbroi, że patrzący osłupieli na ten dowód siły i zręczności, mąż ów szedł prosto na dworzec, aż przed obojgiem państwem ukląkł, mówiąc:

— Ojczy, matko, oto jesteśmy, bo ojczyzna potrzebuje nas pono.

I witało się rycerstwo z sędziwym panem Garbowskim i z panią, ale Złoty pacholik na nic i na nikogo oczu już nie miał, tylko na tego pierwszego rycerza, bo to był pan Zawisza. Drżał chłopczyna z niecierpliwości, aby też i jego oczy na siebie zwrócić, bo mu się zdawało, że przez to już rycerskiego zaszczytu dostąpi. A tymczasem starzy państwo przyjeżdżali świetnie rycerzy, i nastąpiła uczta, a przy uczcie trudno było niezauważyć najrzeczniejszego z pacholików.

— A toż co za nowe szlachetne pachole?... — zapytał pan Zawisza, witający uprzejmem słowem, a poznający każdego dawniejszego dworzanina, gdy Złoty pacholik, podając mu właśnie puchar wina, przykląkł przed nim na jedno kolano w zgrabnym dworskim ukłonie:

— To Złote pachole, złotowłósy synek państwa Jaśków z Dębinki — odpowiedziała sama pani z uśmiechem:

— Aha! synek dawniej „małej panny z Grabek” oho, nie daleko padło jabłko od jabłoni! — rzekł pan Zawisza, przypatrując się z upodobaniem chłopczynie i dodał:

— Powiedz no dlaczego przyklekasz i tylko przedemną jednym tutaj? Nie wiem o takim zwyczaju, a zresztą, jeżeli chcesz uczcić gościa, to jest tu więcej gości, a jeżeli uczcić chcesz godność rycerską, to i rycerze mnie równi w rycerskich zaszczytach tu się znajdują?

A na to opowiedział Złoty pacholik zarumieniony, prostując się, jak świeżo rozkwitła lilijka, gdy pan Zawisza przyjął puchar z rąk jego:

— Szlachetny rycerzu, niema takiego zwyczaju, i nie rycerza ani gościa uczczenie miałem na myśli, lecz ugiąłem kolano mimowoli przed tym, o którym mówi się, gdy słowność i prawość czyjaś sławimy: „polegaj na nim, jak na Zawiszy”.

— Ejże, pacholiku! na Węgrzech więc byłeś chyba i u dworu, że wiesz tę żartobliwą o mnie moich towarzyszy gawędę? A jakże się stało, że ja cię tam nie widziałem? — spytał pan Zawisza zdziwiony.

— Nie, szlachetny rycerzu — Złoty pacholik odpowie — ja na Węgrzech nie byłem, tylko ten żart twoich towarzyszy, jak to nazywasz, przyleciał do nas na skrzydłach rycerskiej sławy twojej!

— Ależ rodzony to synaczek byłej „małej panny z Grabek”, której nigdy słowa nie zabrakło! — śmiejąc się powiedział pan Zawisza, i niechcący prawie przesunął prawicę po złocistej fali na główce chłopczyny, który też główkę przechylił po tę pieszczotę, jak rozpieszczony gołąbek.

— Potrafi on i więcej! — rzekła pani Garbowska — Złoty pacholiku, wstajemy już od stołu, idźno po swoją lutnię a przyjdź z nią do sali, gdzie koło komina zasiadają panowie po lampce miodu wychylić!

— Ho ho, to ten małeć zna się i na lutni? — mówili rycerze — to rzadka rzecz, dobrze, że król Zygmunt tego nie widzi, bo zarazby go na swój dwór namówił.

— Namawiano go i tak na różne dwory i na królewski nawet, ale chłopiec nie chce z Garbowa odejść — rzekł pan Garbowski.

(d. c. n.)

STUDNIA NAFTOWA.

Oświetlenie naftowe, dziś tak rozpowszechnione, jest jednak wynalazkiem zupełnie nowym. W pierwszej połowie naszego stulecia nikt o niem jeszcze nie myślał. Znano wprawdzie oddawna olej skalny, ciecz wypływającą z ziemi, lecz nie wyobrażano sobie, aby ją można było otrzymywać w takiej niezmierniej obfitości. Dopiero w r. 1859 w Ameryce północnej, w Pensylwanii, przy kopaniu studni, natrafiono przypadkiem na podziemny zbiornik nafty, z którego zaczęto dobywać codziennie po kilkadziesiąt centnarów oleju skalnego, nie wyczerpując go wcale. Amerykanie z nadzwyczajnym zapalem rzucili się do tego nowego przemysłu, wiercono studnie naftowe z taką chciwością prawie, jak złoto w Kalifornii. Bo też przemysł ten ogromne dawał dochody, nafta okazała się wybornym materiałem oświetlającym, przedtem nie używano jej do lamp, bo była zadroga, lecz po odkryciu tylu obfitych studni, staniała bardzo i szybko się na całym świecie rozpowszechniła.

Później nie tylko w Ameryce, lecz w wielu krajach europejskich odkryto źródła oleju skalnego; obficie między innymi znajdują się w Galicji, lecz najbogatsze, wyrównyujące amerykańskiemu, posiada Kaukaz. Półwysep Baku na morzu Kaspijskiem słynął oddawna osobliwem zjawiskiem przyrody, ogniem, wybuchającym z pod ziemi, nigdy nie gasnącym. Persowie, czciciele ognia, od niepamiętnych czasów ten płomień podziemny wielkiem poszanowaniem otaczali, w pobliżu zbudowali świątynię, do dziś jeszcze istniejącą i ściągającą licznych pielgrzymów.

Ogień ten jednak nie ma w sobie nic tajemniczego, są to ogromne pokłady węgla, które się powoli palą. Na tymże samym półwyspie Baku odkryto także liczne i obfite źródła oleju skalnego, który zapewne z tychże samych pokładów węgla w skutek ciśnienia i gorąca, jakby przez dystrylację się wywija. Prawie wszyscy przyrodnicy twierdzą, że olej skalny wszędzie podobnym sposobem się wytwarza i ma toż samo pochodzenie, co węgiel kamienny. Pośród tych lasów starożytnych, dziś zagrzebanych głęboko w ziemi pod postacią węgla, było dużo drzew podobnych do dzisiejszych sosen i jodeł, zawierających w sobie soki żywiczne, a te później wydzielali się i osiadały osobno, tworząc dzisiejsze studnie naftowe. Rycina nasza przedstawia taką studnię, świeżo odkopaną, tryskającą wysoko strumieniem nafty.

Olej skalny jest węglowodorem, związkiem wodoru i wę-

gła, a tego ostatniego zawiera w sobie znaczną ilość i dlatego tak jasno się pali; gdyż trzeba wiedzieć, że jasność płomienia pochodzi od cząsteczek węgla, które się w nim do białości rozżarzają. Nafta ma nawet tego węgla w sobie zawiele, i z tej przyczyny lampa, nie przykryta szkłem, kopci, płomień otoczony jest obłokiem dymu; jest to nadmiar węgla, który nie może się spalić w zwyczajnem powietrzu dla braku dostatecznej ilości tlenu; szkło zaś spełnia zadanie komina, wytwarza przeciąg i sprowadza większy napływ tlenu do płomienia. Powietrze zamknięte w rurce szklanej w skutek ogrzania rozrzedza się, staje się lżejsze, lecz gęstsze i cięższe zewnętrzne, dążąc do równowagi, przez otwór u góry gwałtownie się wciska do środka i tym sposobem dostarcza nieustannie świeżego zapasu tlenu,

Knot jest także bardzo pożyteczną częścią lampy. Gdybyśmy odrazu zapalili znaczną ilość nafty w naczyniu, płomień byłby wprawdzie wspaniały, lecz wszytkoby się prędko wypaliło i łatwoby mógł ztąd pożar powstać. Byłby to sposób oświetlania bardzo niepraktyczny. Tymczasem knot, złożony z nitek bawełnianych, wciąga w siebie małą ilość cieczy, która pali się pomaleńku, dając światło umiarkowane, lecz dostateczne.

U nas nafta używana jest tylko do lamp i do ogrzewania małych, pokojowych kuchenek. Ale na morzu Kaspjskiem opalają naftą parowce, probowano już także z najlepszym skutkiem opalać tak samo i lokomotywy pociągów.

SĘPY.

W całej przyrodzie panuje doskonały porządek, wszystkiemu rządzi mądrze i miłosiernie Opatrzność. Każdy wie o tem, że padlina wydaje zgnię, przykre wyziewy, które zatrują powietrze dokoła. Od tego są jednak różne stworzenia, żywiące się padliną, między innymi sępy. Ptaki te mają węch doskonały, zdaleka czują woń wstrętnego swego pożywienia i stądami zlatują się natychmiast, jeśli się gdzie pojawią szczątki nieżywego zwierzęcia, a nawet i trup ludzki, na pastwę ich żarłocstwa wydany. Owady, zwane grabarzami, uprzążają znów skrzętnie drobniejsze szczątki kretów, szczurów, ptaszek i zagrzebują je w ziemi.

Gawędy podsłuchane u niemnowej fali.

przez M...a.

Zamek Giełgudowski.

O półtrzeci mili niespełna od Jurborka wznosi się wysoka

góra, tak blisko Niemna, że tylko drożyna ją od brzegów rzeki przedzielała. Na grzbiecie góry, w prześlicznej miejscowości, stoi zamek wspaniały, dwupiętrowy, o czterech wieżach, dwóch większych, dwóch mniejszych. W ścianach tych wież są wyrobione strzelnice okrągłe, zakończone krzyżami. W pośrodku jest duży dziedziniec, arena starożytnych rycerskich ćwiczeń prawdopodobnie. Chociaż zamek ten stoi na górze, przecież trochę wprawniejsze oko łatwo pozna dziś jeszcze, że był on kiedyś wodą oblany. Zszedłszy do podziemi, pozna też natychmiast każdy, kto tylko widział już poprzednio podobne budowle, że sklepy te muszą się kiedyś niezmiernie daleko rozciągać, a przecież niedługo niemi iść można, gdyż stosa gruzu zalegają przejścia, zwłaszcza węższe. Tak z tradycyi, zbyt mętnej je lnakże, jak i z charakteru samej tej budowy, okazuje się oczywiście, że jest ona dziełem Krzyżaków, i to mniej więcej z wieku XIV. Od 1465 roku należała do Eperjeszów, a od 1686 do Giełgudów. Tyle mówi historia.

— Wszystko to do dobre, ale któż ten gmach zbudował? — mówiłem głośno sam do siebie, zafawwszy odludnej okolicy i usiadłem na spoczynek u stóp murów na górze, po ich zwiedzeniu. Pewność, że to budowa krzyżacka, nie wystarczała mi wcale, bo kiedy inne zamki mają nazwiska tych lub owych panów za posport, dla czegożby jeden Giełgudowski zamek dzisiejszy miał być pozbawiony tego pasportu?...

— A któż ci mówi, że jest go pozbawionym?... — wyszepnął miły, śpiewny głosik tuż koło mnie. Spojrzę ze zdumieniem, ktoby mi odpowiadał w tej samotni, a to staruszcza, ale śliczna, krzepka i żwawa staruszcza, siedzi sobie tuż przedemną na głazach, i buja się na nich swobodnie, jakby kołysała swą starość.

— Jakto, kto mówi? — powtórzyłem — a wszakże ja na to właśnie narzekam, że nikt o tem nie mówi. Toż historia nie mówi nawet z pewnością, jak się zamek ten nazywał za krzyżaków; o toż to i bieda.

— Historia?... — powie uśmiechając się i chwiejąc głową.



Studnia naftowa (str. 283).

wą babina — a cóż chcesz, aby ci powiedziała taka młoda w porównaniu ze mną kobiecinka? Ty mnie posłuchaj, to może się czego i dowiesz...

I nie czekając aż ją zapytam, babina, zwyczajnie jak gadała stara, prawie zaczęła:

— Dawnemi czasy nie prócz zielonej trawy nie było na tej górze, krzaczki tylko wyrastały tu i owdzie, a las potężny jakby za tło jej służył, usunawszy się o kilka kroków tylko za nią, od Niemna. To też lesne zwierzęta młodziutkie, lubiące także jak dzieci, gonić się i bawić wspólnie, przywykły wybiegać często z lasu gęstego na tę górę i harce przeróżne na niej wyprawiać. Sarenki szczególnie, a także zajace bawiły się tutaj do upadłego; matki ich troskliwe i ojcowie, czy to z ogromnemi rogami, czy też jako zajace czesząc łapkami jedno długie ucho, spadające na dół, gdy drugie jak dzida sterczy do góry, przypatrywali się tymczasem dziecinny skokom, uszczęśliwieni z takich zdrowych, żwawych i wesołych dziełek; cisza lesna, i niemnowa fala przypatrywały się wraz z nimi temu obrazowi lesnych, spokojnych rozkoszy. Boć trzeba pamiętać, że acz ruchu, i wrzawy, i hałasu było tam bez miary, gdyż lesna dziatwa, rozswawoliwszy się, dosłownie „na łbach stawała”, przecieć swawola cała odbywała się w największej zgodzie; zatem nic dziwnego, że gdy pewnego wiosennego poranku ludzie, przybywszy tam cicho i niespodzianie, ujrzeli tę rozkoszną zabawę, tedy jeden z nich rzekł do innych:

— Otóż jest Góra-Spokojul...

I w istocie to lesne i górskie ustronie, ożywione miłą swawolą niewinnych mieszkalców lasu, przedstawiał prawdziwy obraz spokojnego szczęścia. Ten, który wymówił owe słowa, powiedział je po niemiecku, a jeden najmłodszych jego towarzyszy odrzekł zaraz:

— Ta góra, obok piękności położenia, posiada także i doskonałe warunki obronne; ponieważ szukamy właśnie miejscowości na budowanie obronnego zamku, zbudujemy go tutaj, fosy jego dadzą się wodą napęlić, a wnętrze góry da się przebić, abyśmy mieli przejście do lasu i na brzeg rzeki, to twierdza ta będzie niezwykłą i dopiero wtedy warta będzie nazwy Friedeberg, jaką jej teraz dałeś, komturze. stryju mój!

— Niech i tak będzie; postawmy tu twierdzę i nazwijmy ją Friedeberg, (Góra spokoju) — potwierdził komtur, i stało się, jak powiedział. Ludzie ci odziani w białe z krzyżami płaszcze na świetnych zbrojach, i na dużych jadących koniach, byli to Krzyżacy, pracujący właśnie pod owe czasy nad osiedleniem się i umacnianiem na wybrzeżach niemnowych!

Komtur ów był to człowiek duszą oddany swemu zakono-

wi, ale przytém dumny bardzo i pragnący osobistego wyniesienia. Już to Krzyżacy w ogóle grzeszyli pychą, lecz i między nimi byli przecież różni ludzie, i niektórym istotnie tylko o potęgę i dobro zakonu chodziło, tak, że o sobie samych zapominali zupełnie. Ale komtur, o którym mowa, wcale nie do takich należał; przeciwnie, on wstąpił właśnie po to do zakonu, aby po zakonnych stopniach godności wspiąć się wysoko, i kto wie, może jako wielki Mistrz krzyżacki zatrząść całym podówczas znanym światem wstawiając zakon, a na jego czele własne starożytne, ale już gasnące nazwisko. Młody giermek, jego synowiec, przeciwnie wcale innego był ducha; nie miał on nawet wielkiej ochoty do zakonu, ale raz doń wstąpiwszy z woli i namowy stryja, był szczerym zakonnikiem

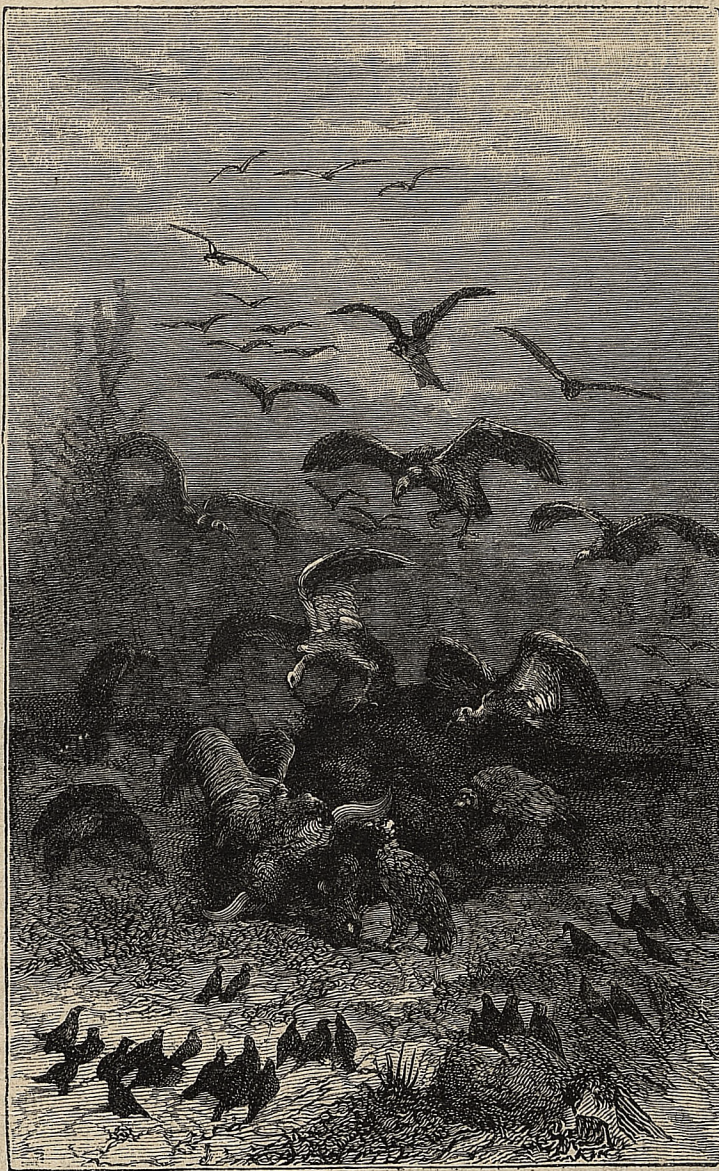
ani domysławiając się dumnych planów rycerza, który dla tego właśnie pociągnął chłopaka ku sobie, aby z czasem uczynić go następcą po sobie, dziedzicem własnej potęgi, i może nazwisko rodzinne przezeń w tej potęgze na długo utrwalić; dumny komtur podobno już wówczas acz nie wyraźnie, myślał zrobić to, co po wiekach zrobił istotnie ostatni z Wielkich Mistrzów krzyżackich: ovladnąć potęgą zakonu i zostać księciem udzielnym.

I obecna wyprawa posługiwała jego własnym planom, choć przedsięwzięta była w interesie ogólnym zakonu; komtur otrzymał rozkaz założenia nowej twierdzy w nadniemeńskiej okolicy, dokąd nie zdołali wdrzeć się jeszcze Krzyżacy, i gorliwie zajął się niebezpieczną tą misją, bo myślał sobie, że im silniejszy zamek zbuduje, tém sam silniejszym będzie, zostawszy jego zarządcą i dowódcą jego załogi. Znalazłszyżatém odpowiednią miejscowość, zajął się natychmiast budową zamku za pomocą, a nawet pod kierunkiem swego synowca, młodego giermka, który był mimo młodości wykształconym w sztuce budowania twierdz i w robotach podziemnych, nieodłącznych od tamtych.

Przedewszystkiem rozpatrzywszy się w okolicy, ujrzeli przybylsze jeden tylko, lecz olbrzymi dąb, rosnący na górze i coprędzej rozkaza-

wszy robotnikom, których wiedli za sobą, pościąć część konarów w gęstwinie tego dębu, ułożono na innych konarach pewien rodzaj podłogi z gałęzi i postawiono tam straż niewidzialną i z zewnątrz w gęstwinie liściastego dębu, a mogącą z takiej wyżyny dawać bacznie daleko na okół. Dąb ten otoczono wałem, fosą i ostrokołem, a tak na prędce w przeciągu kilkunastu godzin zabezpieczono się przeciw możliwej napaści mieszkańców, tworząc sobie z owego dębu tymczasowe miejsce obronne, niby mały zameczek, zanimby wielki zamek stanął gotowy.

U stóp tedy dębu tego, i w jego spróchniałem wnętrzu,



Sępy.

i w jego gałęziach osiedliwszy się, rozpoczęli Krzyżacy co prędzej budowę twierdzy właściwej, i oto wrzawa, ale wcale nie taka miła, jak dawniej, nappełniła ustronie nadniemeńskie, a strach padł na okolicę. Sarny i zające uciekały na wszystkie strony w popłochu, tak prawie, jak to na większą skalę działo się w Polsce przed najściem Tatarów ze wszelkim dzikim zwierzem. Popłoch ten leśny zwrócił też wkrótce uwagę ludzi, zamieszkujących pojedynczymi chatami, lub osadami szeroko rozsiadłymi głębie nadniemeńskich lasów. Jeden i drugi Litwin zarzucił torbę przez plecy, toporek założył za pas, wziął łuk i nóż do ręki, i poszedł ostrożnie przeciw uciekającemu zwierzowi, aby się dowiedzieć, co go tak wystraszyło z nad Niemna. I dla tego to w kilka dni po osiedleniu się Krzyżaków na górze, straż, z dębowego kasztelu strzegąca okolicy, zawołała gromko:

— Baczność!... Kudłate postaci zbrojne wyglądają z lasu!

Ponieważ wszystko było przygotowane na taki wypadek, zatem podwoiwszy baczność, nie okazywano jednak najmniejszego wzruszenia wśród Krzyżaków, nieprzerwano robót już rozpoczętych koło właściwego zamku tylko niewidzialna straż wycelowała kusze z gestwiny dębu w stronę przybyszów, a Hans, stary bywalec, umiejący po litewsku, bo niewoli u Litwinów zakosztował, postąpił i teraz ku nim z oznakami przyjaźni.

— Poczcwi ludzie — mówił — jak się macie? My przybieramy do was i przynosimy wam spokój, bo wybudujemy sobie chatę, która się będzie „Spokój” nazywać, i będziemy pilnować z niej, aby wam nikt w spokoju żyć nie przeszkadzał; czy nie zechcielibyście pomódz w budowaniu, bo jak widzicie, mała nas jest garstka do roboty?

Litwin stary i dwaj jego towarzysze patrzyli nieufnie z pod oka na uprzejmego Hansa, cofali się nawet zwolna w las, spoglądając jednak bystro w stronę rozpoczętej budowy, widocznie mieli ochotę uciec, ale wprzód chcieli przypatrzeć się temu co działo się na górze, bo wszakże przyszli tu na zwiady. Chcąc tedy zyskać na czasie i nieokazać nieufności, aby nie wywołać kroków zaczepnych, chytry stary Litwin rzekł:

— Dlaczego nie mielibyśmy pomódz wam po sąsiedzku, i owszem, a co za to dacie? Czy dacie siekiery i noże? a jaka tam u was robota? bo coś to nie po naszymu budujecie tę chatę... i duża jakaś będzie okrutnie...

Mówiąc tak, podstępny starzec usiłował wraz z towarzyszami wypatrzeć przedewszystkiem ilość nieproszonych gości, przynoszących nieproszony spokój w spokojną dotąd ustron leśną, a Hans nie wzbraniał mu tego, bo tymczasem już młody żwawy Franc, Litwin wzięty małym dzieckiem w niewolę przez Krzyżaków i teraz z nimi przybyły na swoją starą ziemię, zdążył na rozkaz komtura wśliznąć się w las niepostrzeżenie, i zbadać, czy z tyłu poza trzema Litwinami jest ich więcej? Gdyby było więcej, komtur, stosownie do okoliczności i liczby ich, byłby albo wysłał część swego wojska w las, dla zajęcia im tyłu, albo też byłby wywabiał ich z lasu ładą podstępem i jeżeliby nie chcieli się poprzyjaźnić, gotów był do walki śmiertelnej, jak zwykle w podobnych razach. Lecz gdy po trzykroć wrzasnąwszy doskonale naśladowanym głosem leśnego ptaka, Franc zawiadomił dowódcę, iż Litwinów jest tylko trzech, tedy komtur wysłał skrycie kilku tylko co najzważszych młodych swoich pachołków w las, a trzem najlepszym łucznikom swoim, ukrytym w dębowym kasztelu, kazał wiaść Litwinów na cel i nie chybić, bo chodziło o to, aby ci trzej poganie, wypatrzywszy Krzyżaków, nie wrócili z tą wiadomością do swoich i nie naprowadzili ich chmary na przybyszów, zanim ci nie umocnią się w nowo obranem stanowisku.

— Gdy więc nowe ptasie odgłosy z lasu zawiadomiły komtura, że jego ludzie już zajęli tył trzech Litwinów, dał on znak umówiony strzelcom na strażnicy, i trzy daleko nośne strzały spadły na owych chytrych, którzy na chytrzejszych od siebie przeciwników na ten raz trafili. Trzy nieludzkie prawie ryki obły się echem o ściany lasu i poleciały na prze-

ciwny brzeg Niemna, trzej ranni rzucili się do ucieczki w las i wpadli prosto w ręce czekających na nich sług krzyżackich, którym zaraz skoczyli towarzysze z góry na pomoc. Walka była rozpaczliwa, zaciekle, lecz krótka. Sam jeden silny Franc związał starca i pociągnął go do stóp wodza. Stary Litwin spojrzał rycerzowi w dumne oczy i zawołał:

— O ty, który z kłamliwym słowem przyszedłeś na moją ziemię, obyś nigdy spokoju nie zaznał!

Inni schwytali resztę. Nie chcąc ich puścić, aby nie zawiadomili i nie sprowadzili swych współbraci, nie myślano ich przecież zabijać, ani udręczać nawet; owszem wyleczono ich z ran, potem użyto do pracy przy budowie zamku, pilnując bacznie i spętawszy mocno a sztucznie, aby mogąc pracować, nie mogli uciekać jednakże. Było to dostatecznym oczywiście, aby do rozpacz doprowadzić trzech ludzi, przywykłych do swobody w rodzinnych lasach. Rozpacz ta zwiększała się z każdym dniem prawie, w miarę, jak liczba towarzyszków niedoli zwiększać się zaczynała, bo jak trzech najpierwszych, tak i innych Litwinów chwymano po trochu od czasu do czasu, zwiększając przez to sobie ilość rąk do pracy przy budowaniu i zapewniając jednocześnie spokój do czasu przynajmniej, gdyż jeszcze dotąd nikt nie poniósł w głąb Litwy wieści o przybyciu obcych ludzi w nadniemeńskie ustronie. Pokażna już liczba kilkudziesięciu niewolników pracowała nad budową, która miała posłużyć do ujarznienia ich współbraci i ziemi ojczystej, a bardzo prędko zrozumieli oni jej i swoje położenie, rozpaczali przeto:

— Ha, pokazuje się, że człowiek głupszy jest od zwierzęcia, bo zwierzęta uciekają, ztąd, a my wpadliśmy sami w tę niewolę! — jęczał przy pracy stary Margor, ów najpierwszy pochwycony Litwin.

— Ba — odpowiedział ze śmiechem Franc — bo o zwierzęta nikt nie dba, a was dobrze tropią nasze strażę, pojedynczo chodząc po lesie, a dając sobie wzajem znać, gdy który zdaleka nadchodzi; czy to jeden z was nie tu, ale daleko ztąd w lesie został pojmany, gdy dopiero szedł w tę stronę.

(d. n.)

POŚRÓD ŚNIEGÓW I ŁODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA
w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

Przy całém zajęciu koło renifera zachowywano się tak ostrożnie, żeby nie uronić prawie ani kropli krwi. Najprzód wytoczono ją w świeży żołądek tegoż samego renifera, odwróciwszy tylko ten żołądek na nice, i ten przysmak zachowano, bo tak ma się utrzymać odpowiednio do użycia. Z innych wszelkich resztek krwi ugotowano natychmiast na wół rzadkie jedzenie, zmieszawszy z mlekiem czy też ze śmietaną. Pomimo że sami aż oblizywali się na to z wielkiego apetytu, przecież częstowali i nas gościnnie. Ja się jakoś mimowoli wzdrygnąłem na to, ale ojciec zaręczał mi, że to jest jedzenie bardzo smaczne i posilne, znane już w starożytności w Sparcie pod nazwą *czarnęj polewki*, i jadane także w Polsce, zwłaszcza przyrządzone z drobiu, zwane *czarniną*. Na takie zalecenie zabrałem się chętnie do jedzenia, lecz nie tylko ja, ale nawet nawet i ojciec opuścił śliczną łyżkę z rogu reniferaowego za pierwszym pokosztowaniem: była to obrzydliwość, nie pachnąca wcale, i ojciec przyznał, że niema w tém żadnego podobieństwa do *czarniny*. Czy jest podobieństwo do spartańskiego polewki? o to trzebaby tego, kto ją jadł, zapytać. Ale łyżki były piękniejsze niżby się można spodziewać i zaraz kupił ojciec te, które nam podano do jedzenia i dwa kubeczki.

Podczas gdy my jedliśmy naszą pieczeń, którą Hans upiekł na rożnie drewnianym, a ja sam pomagałem mu obracać, Samesi rozkoszowali się swoją polewką i Hans im znowu jeść ją pomagał. Wtém zaczęli oglądać się jakoś i wnet ujrzelismy dwa ruchome punkta czarne w oddaleniu na górach, śniegiem i lodem pokrytych, wkrótce punkta te przemieniły się w Samesów, pędzących z niesłychaną szybkością ku nam na łyżwach. Patrzałem na nich z przerażeniem, pewien, że karki pokręcą na miejscu, lecz zjechali najszcześliwiej na pastwisko i tu już przyszedli do nas, co im daleko więcej czasu zabrało, niż jazda na łyżwach przez dziesięć razy dłuższą przestrzeń. Nie wiem, czy ich zaproszono, ale zaczęli zaraz uctować z innymi. Niezadługo z nizin wyskoczył na renifery potężnym jeszcze jeden Sames i także do nas przypadł i jadł także ową polewkę.

— Czyżby wężem odgadli uctę? — mówił ojciec — o ile wiem, Lapończycy nie zajmują się oddawaniem sobie wizyt, nie mając nawet czasu na to przy trudach hodowli reniferów, a i same odległości stają temu na przeszkodzie, gdy każde stado wraz ze swymi właścicielami musi wędrować zdala jedno od drugiego, ażeby sobie wzajemnie paszy nie odbierać.

Podczas gdyśmy się zastanawiali nad przyczyną odwiedzin owych gości widocznie zdaleka przybyłych, Samesi zjedli tymczasem swój przysmak, do którego główną przyczyną jest zapewne głód, tak samo, jak bywało ze spartańską czarną polewką. Potém wszyscy z pewną uroczystością udali się zwolna z Hansem-Johnem i naszymi wioślarzami na czele, ku owej łódce tajemniczój, która dotąd nietknięta stała przed namiotami, nie skryta, lecz szczelnie ponakrywana i zabezpieczona z dołu i z góry. Mimowoli schwyciłem ojca za rękę, on patrzył ciekawie, zarówno jak i ja. Ostrożnie pozdymowano osłony i kilka baryłek ukazało się oczom naszym w całej okazałości po raz pierwszy, prócz tych baryłek nie było tam nic więcej. Samesi, stojąc nad baryłkami, rozpoczęli jakąś naradę, poczem zaczęto przygotowywać dwoje sanek i gonić, i zaprzęgać renifery. Najwyraźniej ten Lapończyk, który przybył wierzchem, pożyczal teraz sanek, a drugi pożyczal i sanek i renifera. Porozumieli się prędko, i zaczęto starannie zapakowywać w sanki po dwie baryłki:

— A co? — powiedziała do ojca — nie miałemże słusności? ... Nie jest że tu sprawa taka, o jakiej myślałem?... Ci dwaj posłańcy biorą po dwie baryłki, aby rozwieźć dalej... a tu jeszcze pozostaje kilka... dla innych posłańców...

Ojciec patrzył mocno zdziwiony, a wtém Samesi gotowi już do drogi i wioślarze przystąpili znowu do Hansa-Johna, który w uroczystej postawie stanął nad jedną z pozostałych baryłek, zabierając się ją widocznie otworzyć... wyjął szpunt włożył kurek, nachylił, podstawiając kubek rogowy, i... płyn jakiś wyraźnie polał się do kubka... Zdumieni do najwyższego stopnia, patrzyliśmy na to, gdy Hans tymczasem przechylił kubek w gardeo, nalał go znowu i podał drugiemu Samesowi... kubek poszedł kolejką, a mocna woń spirytusu doszła aż do nas... Oba z ojcem spojrzeliśmy na siebie i rozśmialiśmy się na cały głos:

— Ale jeżeli we wszystkich baryłkach jest toż samo, to po cóż cała ta ucieczka, obawa, te skrytości, i to przekradanie! — zawołałem śmiejąc się. Ale ojciec odpowiedział:

— Owszem, to bardzo proste, ale ja teraz to rozumiem dopiero. Lapończycy lubią zabardzo mocne napoje, i dla tego, ze względu na moralność i dobrobyt, rząd zabrania im napoje te kupować, groząc surowemi karami w razie przekroczenia zakazu, tak kupującym jak i sprzedającym. Otóż ztąd podobno wszystkie tajemnice i skrytości naszego Hansa-Johna, który bodaj czyli wspólnymi siłami nie urządził istotnie prawdziwego spisku i waleń wyprawy przez „górkę” do Haparandy, ale po... spirytus. I w istocie ci przybysze będą podobno rozwieźć ten nektar pomiędzy stowarzyszonych: zgadłeś Karlusiu mój, wszystko doskonale, ... z maleńką tylko różnicą. A że biedni posłańcy bali się tak okrutnie, to zwykła rzecz pomiędzy tym ludem wpół dzikim jeszcze, ilekroć ma do czynienia z tajemniczą potęgą, która się „rządem”

nazywa: tak samo przecież drżeli oni przechodząc granicę, aby skrócić sobie drogę przez „górkę”.

Gdy ojciec tak mówił, śmialiśmy się przytém obaj tak serdecznie z naszych głębokich domysłów i z prostego wyjaśnienia ciekawej tajemnicy, że aż Hans-John spostrzegł to i przyszedł do nas, wyprawivszy owych gości. Ojciec zaczął go wypytować, czemu naraża siebie i swoich na niebezpieczeństwa, jakim grozi przekradanie zakazanego trunku, bez którego lepiejby już obejść się było?... Hans głową poważnie pokiwał, westchnął, i rzekł:

— Czyniłem to już nieraz, narażając głowę i czynić będę, dopóki życia i sił mi starczy, bo to jest moim naświetszym obowiązkiem, który spełniam dla dobra kraju mego, mojej Samesyi!

Oślupieliśmy obaj z ojcem na te słowa, bo Lapończyk mówił widocznie seryo, z głębokim przekonaniem:

— Mój Hansie — rzecze ojciec — gdyby to w Samesyi były gorzelnie, i gdybyś ty z narażeniem głowy spirytus sprzedawał na zewnątrz twego kraju, i pieniądże cudze do niego przywoził, to jeszcze może zrozumiałbym, że to czynisz dla dobra kraju; ale jak może Samesya skorzystać z tego, że ty pieniądże ciężko zapracowane z nią wywieziesz i przemarnujesz i współbraciom do tego pomożesz? trudno to zrozumieć. Tyle tylko uznać muszę, że rząd bardzo troskliwie dba o Samedyą!...

— Bo ty tak samo źle widzisz, jak i ten rząd! — energicznie odparł Hans-John-Bull, jak się sam w ważnych okolicznościach nazywał.

— Jakto źle widzę? — rzecze ojciec — czyliż zaprzeczysz, że w ten sposób marnuje się pieniądz i praca, mogąca służyć na zagospodarowanie Samesyi i polepszenie waszego bytu?

— Czy widziałeś w Samesyi rozległe lasy spalone? — zapytał Hans z wielką powagą.

— Widziałem — rzekł ojciec — i gdybym powracał tą samą drogą, to nieomylnie zobaczyłbym jeden więcej las spalony, mianowicie ten, który ty podpaliłeś, nie wygasiwszy ognia po ugotowaniu kawy... wiesz!

— Otóż-to! otóż widzisz! oto masz! — tryumfalnie zawołał Hans-John-Bull — a to nic jeszcze, co widziałeś, gdybyśmy poszli trochę tam na zachód, dopiero zobaczylibyśmy obszary lasów spalonych, aż się serce ściska z żalości za tēm bogactwem kraju naszego! A te, które jeszcze, będą także wkrótce spalone, aż przyjdzie kraj nasz do takiej nędzy, że nie będaie kawałka drzewa na ogrzanie dzieci, i wszystko zmarznie!... A wiesz, dla czego tak jest?... Oto dla tego, że rząd zabrania Samesom spirytus kupować, i karze tych, którzy go im sprzedają, więc Samesi, nie mając czem rozgrzać wnętrzości, przywykli do tēj przeklętój kawy, a kawy nie zrobisz bez ognia, a ogień pożera lasy! Ztąd całe nieszczęście!

— Ach! wy szaleni! — zawołał ojciec — wy, którzy własną winę na drugich składacie! Wygaszajcie tylko ognisko, gdy odeń odchodzicie, a lasy nie będą się paliły z pewnością! Czy nie rozumiesz tego?

Przewodnik potrząsł głową, obejrzał się naokoło, nachylił do siedzącego ojca, szepnął tajemniczo:

— Nic nie pomoże! choćbym niewiedzieć jak gasił, zawsze znajdzie się tam jakaś utajona iskierka, którą ktokolwiek z moich zmarłych krewnych rodmucha, abym z płonącym lasem i ja spłonął, i prędzej dostał się na tanten świat do krewnych, tęskniących za mną, ponieważ mię kochają...

Spojrzeliśmy oba z ojcem wzajem na siebie, usłyszawszy tę dziwną próbkę lapońskich przesądów. Poprobowaliśmy w imię chrześcijańskich pojęć wytłómaczyć, że zmarli mają prawdopodobnie wcale inne zajęcia, niż szkodenie żywym, i to jeszcze z wielkiego kochania. Ale próżne było nasze usiłowanie, bo zastarzałe przesady nie tak łatwo dadzą się wypłenić, a Samesi, acz już chrześcijanie, przecież, jak ojciec utrzymuje, mają jeszcze w pamięci mnóstwo bałwochwalczych wspomnień. Hans stał jak mur przy swych przekonaniach:

— Na nic się wszelkie gaszenie nie zdało — powtarzał —

jeden tylko jest sposób ocalenia Samesy, a to taki, żeby Samesom wolno było jak dawniej kupować spirytus, to wtedy nie potrzebowaliby rozgrzewać się kawą; i dla tego każdy porządny Sames powinien dla dobra kraju przekradać dla współbraci spirytus; to jest misya każdego pocziwego Samesa, i ja tę misyą pełnię!... — i to powiedziawszy, z wielką dumą odszedł od nas ów misyonarz w zupełnie nowym rodzaju. Niezawodnie musiał słyszeć coś o misjach i misyonarzach od Anglików, i plótł o tym. Nie wiedzieliśmy sami, czy śmiać się z bredni, czy rozplakać nad nieszczęśliwą skłonnością ludzką do zaślepiania się fałszami szkodliwymi, które schlebiają ich ujemnym popędem, bo Hans, acz nie głupi wcale, przecież na ten raz mówił z przekonania.

— Nie bez tego, żeby dostawcy zakazanych trunków nie wmawiali kupującemu tego, na czém sami zyskują — powiedział ojciec.

Ja milczałem, aby mu przykrości nie zrobić, bo wiem, że bardzo kocha pana Stern-Biorna, ale przypominając sobie różne okoliczności, byłem prawie pewny, że ten ostatni wiedział dobrze o oryginalnej misji Hansa. Marynarze mają swoje własne pojęcia o moralności, a przytém pan Stern-Biorn jest jowialista w swoim rodzaju, więc bardzo być może, że pomagając swym przyjaciółom Samesom w tym razie, uważa to poprostu za niewinny figiel, spleatany rządowi, może nawet w przystępie dobrego humoru sam zaimprovizował ową szczególną przyczynę rozpalania się ognisk... niezgaszonych. Jest to przynajmniej bardzo do niego podobne. Że jednakże istnieje w Laponii ów przesąd o zmarłych, szkodzących żywym z kochania, o tym się i później przekonałem. Pan Stern-Biorn może tylko przesąd ten na razie zużytkować.

Gdy wielkie zajęcie z baryłkami minęło i goście odjechali, Samesi domowi zajęli się znowu reniferami, z którymi mają podobno nieustanne i to ciężkie zajęcie, tak, że po głębszym zastanowieniu, nie jestem pewny doprawdy, kto tam komu służy, i kto z kogo więcej korzysta? renifer z Lapończyka, czy Lapończyk z renifera? To pewna, że dziś przynajmniej, gdy ustępować oni muszą coraz bardziej ze stron południowych Laponii ku północnym, już renifery nie utrzymałyby się tam długo bez starań człowieka.

(d. c. n.)

SZARADA.

(Od Czarnulki dla Sosenki).

Pierwsze z drugim niemiła dla ludzi,
Bo w ich sercach często niechęć budzi;
Trzecie z czwartym imię króla węgierskiego,
Za którego dużo stało się dobrego;
Wszystkiem dawni Polacy zawsze się chlubili,
W bitwach i w pokoju przy sobie nosili.

Krzyż z podstawą.

(Gołąb z nad Warty).

18	26
27	29
30	34
35	41
42	50
51	61
17	

1 — 17 Imię, liczba porządkowa i nazwisko króla polskiego. 18—26 Dawna twierdza na Podolu. 27—29 Jeden z trzech książąt kijowskich IX wieku. 30 — 34 Wyspa na morzu Śródziemnym. 35 — 41 Miejsce, gdzie odbyła się słynna bitwa Serbów z Turkami. 42—50 Pseudonym poety. 51—61 Nazwisko współczesnego powieściopisarza polskiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go.

Łamigłówki Okularnika:

Krew—ser—Ewa—kra—kresa—sak—iskra—rak—kir—war
Kraszewski.

Łamigłówki kryształowej:

	W					
	L	I	S			
	M	L	E	K	O	
W	I	E	S	Ł	A	W
	P	Ó	Ł	K	A	
	G	A	Z			
	W					

TREŚĆ: Ustęp z „Flisa”, poematu Sebastjana Klonowicza (drzew.) — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a. (c. d.) — Studnia naftowa (z drzew.) — Sępy (z drzew.) — Gawędy podsłuchane u niemnowej fali p. M—a. — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Podarunek dziadunia (z drzew.) — Jakoś to będzie wierszyk Ludwika Niemojowskiego. — Imieniny Antosi p. Zofię Bukowiecką. — Rodzeństwo p. Bogumiłę (dokończenie). — Łamigłówka, rozwiązanie. — Dodatek książkowy: Garbusek, powieść dla dorastających panienek p. Maryą Świderską.



PODARUNEK DZIADUNIA.

Ignas pojechał raz z mamą na całe lato na wieś do dziadunia, wielka to była radość dla chłopczyka, gdy dziadunio zaczął go oprowadzać po całym gospodarstwie, pozwolił oglądać z bliska koniki, krówki, owieczki. Ale ze wszystkich zwierzątek najwięcej podobał się Ignasiowi śliczny mały osiołek; nie mógł się nim nacieszyć, głaskał go, brał za uszki, za pyszczek, nareszcie objął za szyjkę, pieścił, całował i mówił do niego, tak zupełnie, jakgdyby osiołek mógł to rozumieć. A dziadunio powiedział z uśmiechem:

— Już kiedy tak polubiłeś tego osiołka, mój Ignasiu, to ci go daruję.

— Co? — zawołał chłopczyk uszczęśliwiony — naprawdę mi dziadunio daruje tego ślicznego osiołeczka? i on będzie teraz mój, mój własny?

— Tak, będzie twój własny, ale pod jednym warunkiem; oto, żebyś sam zawsze pamiętał o wszystkich jego potrzebach. Osiołek nocuje w stajni, trzeba więc rano go wyprowadzić, uwiązać na sznureczku na łączce, żeby się mógł napaść trawki, trzeba mu potem pić dać w porę i wieczorem znowu odprowadzić do stajni. Jak sądzisz, czy to nie będzie za duży kłopot dla ciebie myśleć o tym wszystkim? Bo gdybyś kiedy zapomniał o osiołku, mógłby zachorować, a nawet i zginąć.

— O, nie, dziaduniu, ja o nim nigdy nie zapomnę — zawołał Ignas — jak tylko się przebudzę rano, zaraz pobiegnę, zaprowadzę go na paszę, spytam się stajennego, kiedy go potrzeba napoić i pójdę z nim do cebrzyka, gdzie jest woda.

I rzeczywiście Ignas troskliwie się opiekował swoim osiołkiem, nigdy nie zapominał wyprowadzić go na paszę, napoić w porę, tylko jeżeli deszcz padał i mama nie pozwalała wychodzić z pokoju, wyręczał go w tym chłopak

stajenny. Osiołek wyrósł, był zdrow i silny, a gdy Ignas na rok następny przyjechał do dziadunia na lato, mógł już jeździć na swoim osiołku, zawsze jednak i potem sam o wszystkich jego potrzebach pamiętał.

JAKOŚ TO BĘDZIE!

Znałem pewnego chłopca w Warszawie,
Który, choć ojciec wciąż go strofował,
Przy figlach, psotach, szalach, zabawie,
Najlepsze chwile życia marnował;
Gdy mu mówiono: próżniactwo grzechem,
Nauka tylko prym daje wszędzie,
On odpowiadał wtedy z uśmiechem:

Jakoś to będzie!

Brzydkie przysłowie, wierząc, dzieci,
Bo choć przy szale uciech zwodniczym,
Wśród pustot, figlow, czas szybko leci,
Nikt go nie zdoła nagrodzić niczym;
Ten, który myśli wciąż o swobodzie,
Życiu bez trudu, zostaje w błędzie,
Mówiąc po każdym życia zawodzie:

Jakoś to będzie.

Chłopiec, o którym, rzekłem wam, dziatki,
Czyli to we dnie, czy też wieczorem,
Unikał ojca, nie słuchał matki
I wciąż szedł zdrożnym swawoli torem;
Od całkiem obcych nawet mu osób
Odbierał często rady w tym względzie;
Ale powtarzał wciąż na swój sposób:

Jakoś to będzie.

Raz mu profesor rzekł ostro w szkole
Przy całej klasie, wśród pilnej młodzie,
Gdy nic nie umiał: Słuchaj, pachole,
Leniuchem jesteś, tak się nie godzi,
Kto do próżniactwa ma chętkę taką,
Stopnia w cenzurze swój nie zdobędzie,
A on odpowie zawsze jednako;

Jakoś to będzie.

Upłynął kwartał — to zwykła chwila
Cenzury szkolnej: ten na początek
Ma jedną trójkę, a czwórek kilka,
Ów na okrasę ma parę piątek;
Nasz leń, pomimo ciągłych przechwałek,
Stał w ostatnim wśród uczniów rzędzie,
Lecz mówi, widząc cały rząd pałek:

Jakoś to będzie.

Rok minął, przyszła pora swobody,
Wszyscy na ferye ruszają śmiało:
Jeden się chłopiec cieszy pochwałą,
Inni dostali wieńce, nagrody,
Leń bez promocyi pozostał w klasie,
Lecz z dobrą miną powtarza wszędzie:
Ja się poprawię w niedługim czasie,

Jakoś to będzie!

Ubiegły lata, jak w śnie zwodniczym,
On za nieuctwo z szkół wypędzony
Wrócił do ojca w rodzinne strony,
Lecz się zajmować nie umiał niczem,
— Cóż teraz zrobisz — ojciec zawoła.
— Zgrzeszyłem — rzecze — wprawdzie w tym wzglę-
[dzie,

Ale się wszystko naprawić zdoła...

Jakoś to będzie!

Zwykłym kolei losów udziałem,
Rok szedł za rokiem jednakim chodem,
Próżniak oddawna przestał być młodym,
Zostawszy wreszcie człekiem dojrzałym;
Jednak jest tylko zerem jak wprzód,
Nic nie umiejąc w wszelakim względzie,
I wciąż powtarza pełen uludy.

Jakoś to będzie!

Wreszcie nadeszła starość zgrzybiała,
Tyle w rozliczne cierpienia płodna,
A nasz pasożyt opadł z sił, ciała,
Kielich goryczy wypiwszy do dna.
Nędzarz, którego widok odraża,
Który litosnej lży nie dobędzie
Z oczu bliźniego — już nie powtarza:

Jakoś to będzie!

O wy, dla których stoi otworem
Przybytek nauk, przez znoje, trudy,
Zahartowani idźcie prac torem
Nie poddawając się snom uludy;
A jeśli wiek wasz przeszedł daremno,
Niosąc cierpienie po ciężkim błędzie,
Mie mówcie, ufni w przyszłość tajemną:

Jakoś to będzie!

Ludwik Niemojowski.

Imieniny Antosi.

— Żeby też to jutro ładny był dzień — mówiła sobie Antosia, kładąc się do łóżeczka 12-go Czerwca, a właśnie deszcz padać zaczynał, niebo się zachmurzyło i prawie na pewno liczyć było można, że jutrzejsza solenizantka noska za drzwi wystawić nie będzie mogła. Westchnęło maleństwo z bardzo smutną miną, ale na czas przypomniała sobie, że w łóżeczku przeżegnać się trzeba, zaczęła więc pocichu szeptać: „Aniele Boży, stróżu mój”, ale już na drugim wierszu oczki jej się skleiły, a po chwili spała już smacznie pod śliczną niebieską kołderką.

Bardzo dobrze się stało, że tak prędko zasnęła, bo braciszek jej Kazio także już ziewać zaczynał, a tu trzeba było przygotować podarunki na jutrzejsze imieniny siostrzyczki. Co tam było ślicznych rzeczy! Kazio na paluszkach przysunął się do łóżeczka, posłuchał czy Antosia naprawdę śpi, potem pobiegł po mamę, bo sam nie mógł przysunąć dużego stołu, na którym porozkładać miano przygotowane oddawna dary.

Mama, jak wszystkie mamy, ucałowała synka za to, że o siostrze pamiętał, przyniosła potem serwetę, nakry-

to nią stół, ale teraz zaczęła się narada, co gdzie postawić. Na środku naturalnie bukiet z róż stać będzie, ale te jutro dopiero świeże z ogródka przyniesie Kazio, tylko czy wstanie tak rano? Ej, wstanie, bo on zuch i jak powie, że co robi, to zawsze dotrzyma.

Tymczasem więc dla oznaczenia miejsca postawiono próżny wazonik, a koło niego mama położyła białą sukienkę z niebieską kokardką i małe pudełeczko do roboty, w którym był naparstek mały, jak na figiel, igły, nici i wszystko, co do szycia potrzebne, bo Antosia ośm lat kończyła, a takie duże dziewczynki zawsze już szycie umiała. Kazio przyniósł farby, kupione za swoje własne pieniądze i obrazki, które sam rysował, bo bardzo ładnie umie przerabiać z wzorków, a nawet i z pamięci, baranki, psy, koty, zwierzęta są jak żywe, ale na obrazkach Kazia nie gryzą się i nie drapią.

Wszystko już gotowe, bo i ciocia swoje pudełko cukierków postawiła obok sukienki, stolik ślicznie wygląda, tylko Kazio ciekawy bardzo, co też da tatka. Mama wie pewnie, ale mama nie powie, próżno się pytać, a tu taka chęć zbiera dowiedzieć się dziś jeszcze, bo tatka to pewnie coś najlepszego i najmądrszego wymyślił. Tymczasem dziesiąta wybiła, Kazio widzi, że się sekretu nie dowie, więc jak rozsądny mężczyzna, zdecydował się czekać do jutra i poszedł do swego pokoju rozebrać się i położyć.

Śpią dzieci, a anioł stróż, co każde z nich usypia i Bogu poleca, musiał się dłużej nad łóżeczkami Antosi i Kazia zatrzymać, bo były to dobre dzieci, takie dzieci co to na pociechę rodzicom a na chwałę Bożą rosną. W Czerwcu noc krótka bardzo, o czwartej widno już zupełnie, Kazio śpiąc nawet pamiętał, że trzeba wstać rano, o szóstej być ubrany, a w chwilę potem skradał się do pokoju siostry z ślicznym bukietem, na którym świeciły krople deszczu wczorajszego, bo dziś było prześlicznie, tak jak na imieniny grzecznych dzieci być powinno.

Antosia miała już czas wyskoczyć z łóżeczka, uśmiechnąć się do słońca, obejrzeć podarunki, rozłożone na stole, a teraz siedzi na kolanach matki, okryta jej szalem i uśmiecha się do Kazia, którego z za bukietu nie widać prawie. Wtém wszedł ojciec i na wielkie dzieci zadziwienie wyjął z papieru, dużo, dużo płótna, a potem uścił swoją córeczkę i zapytał jej, czy się domyśla, na co tatka takie kupił jej wiązanie?

Inna dziewczynką mogaby nie zgadła, ale Antosia była córką doktora, tak często z tatkiem chodziła do słabych dzieci, jeśli tylko choroba zaraźliwą nie była, widziała, ile biedaków nie ma czystej i całej koszulki i teraz zrozumiała swego ojca, rzuciła mu się na szyję i mówiła do uchn:

— Ty zawsze najlepszy i najukochańszy, tatuściu.

A Kazio w tej chwili pierwszy raz pożałował, że nie jest dziewczyną i szycie nie umie, ale za to pomyślał sobie na pociechę: Antosia będzie dobra, jak mama, ale ja postaram się być takim, jak tatka!

I wszyscy wesoło poszli do śniadania, przy którym Antosia w białej sukience siedziała na pierwszym miejscu.

Zofia Bukowiecka.

RODZEŃSTWO

przez **Bogumiłę.**

(Dokończenie).

— Po śmierci ojca położenie nasze bardzo się zmieniło — opowiadał ze smutkiem chłopiec — ale mama tak pracowała i oszczędzała, że nam nigdy na niczem nie zbywało. Dawła mamusia lekcye muzyki i to wraz ze skromną emeryturą po ojcu wystarczało na nasze utrzymanie. Mnie mama posłała do szkół do Warszawy, a ja uczyłem się pilnie po dniach i po nocach, aby jaknajprędzej móżdż dawać korepetycye i zarabiać sam na siebie. Helunia uczyła się od mamy, a to taka dobra, taka kochana siostrzyczka!

— Widocznie, moje dziecko, bardzo kochasz swoją siostrę — powiedziała mama, wzdychnąwszy i patrząc znacząco na Wacia i Zosię, którzy przytuleni do siebie, jak dwie ptaszynki w gniazdku, siedzieli cichutko, nie śmiejąc się odezwać.

— Ach! czyż jabym mógł jęć nie kochać! — zawołał Staś z zapalem — przecież to moja siostra, a siostra to najbliższa istota po rodzicach, którzy znów są najbliżsi Bogu!

— Tak! masz słusność, kochanku! — powiedziała mama, a Waciowi i Zosi tak się jakoś smutno i coś jakby przytyd zrobiło, że się zarumienili oboje, Zosi nawet łzy zakręciły się w czach.

— A zawsze pan zgadzałeś się z siostrą? — zapytała panna Antonina — nigdy się pan z nią nie kłócił, jak bywały, nie wrywał jęć zabawek, nie przezywał jęć przydyko.

— A siostrzyczka zawsze ustępowała starszemu bratu? — spytała mama.

— O! tak! proszę pani! — odpowiedział Staś z powagą. — Mama nas zawsze tego uczyła, żebyśmy byli zgodni, nie kłócili się, nie zazdrościli sobie niczego. I jakby czuwała, że niedługo będzie z nami — dodał po chwili stłumionym głosem — bo często do mnie mówiła: Oj Stasiu! Ty po mojej śmierci będziesz się opiekował Helunią; zastąpisz jęć ojca i matkę; a do Heluni: Heluni! słuchaj zawsze Stasia i szanuj go, on ci ojca zastąpi.

— I dawno, jak wasza mama umarła, biedne dzieci? — zapytała matka Wacia i Zosi.

— Dwa miesiące temu, proszę pani! — odpowiedział Staś ze łzami w oczach — na samym początku wakacyi, ziębiła się i dostała zapalenia płuc, a z tego wywiązały się suchoty.

— Biedne, biedne dzieci! — mówiła pani M. — takie łode, a już same jedne na świecie, bez ojca i matki!

— A z kimże została siostra w Łowiczu? — spytała po chwili.

— Ciotka nasza, cioteczna siostra naszego ojca wzięła po śmierci mamy do siebie; jest to wdowa bezdzietna, a i ona też Heluni smutno u niej bardzo; jeszcze póki ja by-

łem przez wakacje, to jako tako było, ale co teraz, to zapłacze się chyba biedactwo.

— Ach! Boże! Boże! — dodał po chwili — żebym ja już mógł być dorosłym i wziąć ją do siebie, ale cóż! kiedy ja mam dopiero piętnaście lat!

I zadumał się biedny chłopiec, a pani M. nie pytała go dalej, bo i sama zamyśliła się także i jechano już dalej w milczeniu.

Tymczasem noc zapadła i ciemno było zupełnie; ani jedna gwiazdka nie świeciła na niebie, tylko iskry, rozlatujące się dokoła pociągu, błyszczały w ciemności. W wagonie zapalono światło, mimo to cisza panowała zupełna; część podróżnych zasypiała ze znużenia, gdzieś niedługo nawet chrapanie dało się słyszeć.

Wacio i Zosia usnęli także; pocziwa panna Antonina ułożyła dziewczynkę, jak mogła najwygodniej i okryła szalem od wieczornego chłodu, ale widocznie Zosia miała jakiś sen nieprzyjemny, bo rzucała się niespokojnie i płakała przez sen, a raz nawet zawołała na cały głos:

— Nie umieraj, mamó!

I cóż, czy odgadnięcie, co jęć się śnić mogło? Oto! śniła jęć się najpierw błąda dziewczynka w żałobie, żegnająca się z bratem, a potem stało się coś dziwnego, bo oto: tą dziewczynką była ona sama, ona, tak dotąd szczęśliwa Zosia. Ona to żegnała się z Waciem, odjeżdżającym gdzieś daleko, bardzo daleko, a tatusia i mamusi nigdzie jakoś nie było widać.

I znów rozległ się donośny głos konduktora, ale tym razem zwiastował on stacyą przez wszystkich pożądaną, zawołał bowiem:

— Warszawa!

Panna Antonina pobudziła dzieci, a któż opisze radość Zosi, gdy ujrzała ojca, który ją na rękach wyniósł z wagonu, a którego nie widziała całe sześć tygodni i gdy się przekonała, że te wszystkie okropne marzenia, które ją trapiły, to był tylko brzydki, męczący sen i już na szczęście przeminął.

Sen ten jednak, jak również i zdarzenie, które go wywołało, wielką jęć oddały przysługę, bo od tego czasu Zosia jest dla braciszka dobrą i kochającą siostrzyczką i ustępuje mu we wszystkim.

Nie wiemy, czy Waciowi śniło się także coś podobnego, jak Zosi, czy też tylko opowiadanie Stasia tak na niego korzystnie podziało, ale od czasu powrotu do domu odmienił się zupełnie; jest grzeczny, uprzejmy i tak troskliwy o Zosię, jakgdyby naprawdę był jęć opiekunem. Wacio i Zosia są teraz tak zgodni i kochającymi się rodzeństwem, że inni rodzice za wzór ich dają swoim dzieciom. Zrozumieli oni bowiem, czego dotąd nie pojmowali, jakie to wielkie szczęście mieć brata lub siostrę. Kochające się rodzeństwo, nawet wśród trosk, wśród nieszczęścia, jeszcze pociechę sobie przynieść może przywiązaniem wzajemnym.

Zadanie konikowe.

(Od Synogarliczki dla Iskierki).

ła	ko	sy
ty	*	ca
za	Wilk	i

Odczytać znane przysłowie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 34-go.

Łamigłówki w kwadraciku :

N O S
O S A
S A N

Skrzynka do listów.

Gwiazdka bardzo przyjemną sprawiła nam niespodziankę swoim listkiem, który wcale nie jest za długi. Że taka młodziutka osobka jest wesoła i często miewa ochotę do figlów lub nawet psot niewinnych, tego jęj nikt za złe mieć nie może, wesołe usposobienie nie jest bynajmniej dowodem złego serca, o to Gwiazdka może być spokojna. Kazio zaraz po rozstrzygnięciu konkursu robótek wystąpi z nowym zadaniem, byle mu się tylko co mądrego udało; upewnia jednak, że chociaż ma tam jakiś dawny porachunek z Gwiazdką, (nie chciał się przyznać o co) jednak na sąd jego o wypracowaniu nie wpłynie to ujemnie: Co do „Obrazków historycznych”, wstrzymane są z powodu niewykończenia rysunków, ale będą później podawane w dalszym ciągu.

Kamelja różowa nie pisuje znów tak często, aby jęj listki znużyć redakcyą, może być zresztą o to spokojna, że nigdy tęj sztuki nie dokaże, choćby i najczęściej pisywała. Bardzo nam żal tęj biednej Kamelii, że musi już do miasta powracać, bo dla wszystkich kwiatków, i polnych i cieplarniach niema jak wieś. Ale cóż robić, nie możnaż znowu zostać kwiatkiem dzikim, gdy więc wakacje upłynęły, trzeba się brać do pracy.

Zawierucha zapewne niedość cierpliwie czekał, urządzając pierwszy raz doświadczenie fizyczne i dla tego mu się nie udało; trzeba na to trochę czasu, aby pasek flanelowy wciągnął w siebie wilgoć. Skoro jednak doświadczenie to za drugim razem się udało, należałoby dojść, co było powodem poprzedniego niepowodzenia.

Pegaz Skrzydlaty nie jest wcale zapomniany, ale widocznie sam zapomniał o „Wieczorach” skoro przez całe dwa miesiące o nic się nie upominał, mieszkając w mieście. Nie mamy mu jednak tego za złe, kto pilnie przez cały rok pracuje musi w czasie wakacyj nawet i czytanie troszkę zaniedbać. Bajka wcale nieże się Pegazowi udało i będzie drukowana.

Bławatce z nad Horynia serdecznie dziękujemy za przesłany podarunek i prosimy o dłuższy listek.

Córę Jadźwingów upewniamy, że nigdy korespondencyą swoją uprzykrzać się nam nie może, bo pisze wyraźnie, a nawet ładnie, co w naszych czasach rzadko się zdarza pomiędzy pensyonarkami. Łamigłówkę wydrukujemy, ale troszkę później.

Tulipana prosimy także o cierpliwość, chociaż łamigłówki są dobre, niepodobna jednak pomieścić wszystkich, które nadchodzą. Czy był przed kilku tygodniami listek z tym podpisem, tego już dziś przypomnieć sobie nie możemy, ale jeżeli doszedł, to i odpowiedź musiała być drukowana w Skrzynce do listów.

Sarneczkę z nad Sanu prosimy o odczytanie poprzedniej odpowiedzi; nigdy bowiem najlepszych nawet łamigłówek wszystkich pomieścić nie możemy. Powiastka nie może być wydrukowana, nie z powodu błędów, lecz dlatego jedynie, że mało bardzo tłumaczeń zamieszczamy w Pisemku i mamy do tego współpracowników stałych.

Wróbla i Bekasa odsyłamy także do dwóch odpowiedzi poprzedzających.

Prymulce różowej dziękujemy bardzo za dowcipne łamigłówki anagramowe, wszystkie będą drukowane.

Wielkopolanka trafnie odgadła, że odrobina świeżego powietrza przydałaby się teraz bardzo w Warszawie. Wszystkie kochane korespondentki nasze, które wraz z Wielkopolanką przyczyniły się do powiększenia funduszu kolonii letnich, pewnie teraz z zadowoleniem wewnętrznym używają przyjemności wiejskich.

Edzia, jest to pewna dziewczynka, czytująca „Wieczory”, która, jak nam mówiono, *obawia się* napisać do naszej redakcyi! Czy to być może? Ta Edzia wkrótce nam zapewne doniesie, że to są żarty, bo przecież czytając naszą Skrzynkę do listów, nie znalazła w niej chyba powodu do takiej obawy.

Sobótka może śmiało stałą korespondentką naszą zostać, bo na swój wiek dobrze i porządnie pisze, radzimy jęj szczerze, aby jak najdłużej pisała dużymi literami, jest to najlepszy sposób, kto chce mieć ładne pismo. Bardzo nam będzie miło poznać osobiście tę kochaną Sobótkę.

Leszek Biały zrozumiał widocznie, że nagroda otrzymana za kaligrafią jest zachętą do coraz większej staranności w pisaniu i dlatego tak dbał o to, aby listek doszedł w dobrym stanie. Możemy go jednak uspokoić, wcale nie był zgnieciony i żeby nie przypisek Mamy, nie poznalibyśmy nawet, że jakieś niezwykle przechodził przygody.

Staś M. trafnie odgadł Rebus.

Mała gosposia z Woli Prażmowskiej przesłała trafne rozwiązanie łamigłówek i dobrze ułożyła nową, ale musi być cierpliwa, bo miejsca na nią teraz braknie.

Iskierce dziękujemy za ciekawy opis stepu, szkoda, że taki króciutki. Szaradę wydrukujemy.

Różyczka polna nie potrzebuje się spieszyć z układaniem nowych łamigłówek, bo i tamte jeszcze nie wszystkie mogły być wydrukowane. Kłopot wielki, Różyczko kochana, z temi łamigłówkami, których w żaden sposób pomieścić nie można. Słuszny musi być ten biały kotek, szkoda, że Różyczka nie napisała, jak się nazywa, a może jeszcze nie ma imienia? Listku do Słomki nie drukujemy, bo byłby już pewnie spóźniony.

Jerzynka z Irewnicy, nie dodając prawdziwego nazwiska do adresu, liczyła widocznie na domysłność redakcyi, i nie zawiodła się, wiemy dobrze, co to za Jerzynka i potrafimy ją odszukać, jeżeli robótka okaże się warta nagrody.

Rusałka skarży się, że nie odebrała odpowiedzi na trzy listki, ale żaden z tych listków nie doszedł z pewnością, bo na wszystkie zawsze odpowiadamy. Doświadczeń fizycznych mamy zapas dostateczny, w tęj chwili nowych przyjmować nie możemy.

Wilczek z nad Bohu bardzo nas ucieszył obietnicą zbierania drobnych grosików na kościół budujący się na Pradze. Przyjmujemy z wdzięcznością wszelkie datki na ten piękny cel przeznaczony.